

Gdy 10 lat starasz się o dziecko.

Nasza walka rozpoczęła się w dwutysięcznym czwartym roku. Mamy rok dwutysięczny czternasty i jestem w ciąży. Rachunek prosty, dziesięć lat starań, złudnych nadziei, biegania od lekarza do lekarza, szeregu badań i ciągłego oczekiwania na wynik testu ciążowego. Jedni mogą powiedzieć, co to jest dziesięć lat, przecież inni starają się dłużej. Jednak dla mnie te dziesięć lat, to była niekończąca się droga przez mękę. Teraz z perspektywy czasu widzę, że było warto czekać aż taki okres na pozytywny wynik testu. Nieraz już chciałam się poddać, zostawić to wszystko, były myśli o rozwodzie, o adopcji. Zawsze myślałam, że zajście w ciążę to jak wygrać szóstkę w totka.

A jednak sytuacji może się zmienić nagle. To szczęście, a może lepiej powiedzieć medycyna czyni cuda. Siedzę, piszę i zastanawiam się od czego zacząć. Tyle tego było. Dokładnych dat już nie pamiętam, nazw leków których stosowałam, ale chyba nie o to w tym chodzi. Chciałabym żeby moja historia, była mocnym dowodem dla par, które przechodzą przez to samo, że nigdy nie należy się poddawać, że jednak można.

Kiedy znowu odbierasz wyniki testu ciążowego - negatywny, znowu przyszedł okres, czy w takiej sytuacji masz siłę, by powiedzieć coś optymistycznego. Ile można czekać, ile wierzyć, skąd brać tę moc. Dzisiaj siedzę przed komputerem, piszę swoją historię, a w brzuszku czuje kopniaki naszego maleństwa. To takie piękne uczucie, coś elektryzującego moje uczucia. Nigdy bym tego nie zamieniła na nic innego, sądzę, że domyślasz się o czym mówię.

A więc zacznijmy od początku.

Rok dwutysięczny czwarty - nasz ślub. Znałam się z moim obecnym mężem Tomkiem prawie siedem lat. Jako dziecko zawsze marzyłam o pełnej i szczęśliwej rodzinie. Ja, mąż, co najmniej dwójka dzieci. Sama mam brata i nie wyobrażałam sobie nie mieć dziecka, bądź mieć tylko jedynaka. Uważam, że każde dziecko powinno mieć rodzeństwo, ponieważ to mocno wpływa na jego rozwój. W sytuacji, gdy jesteśmy już dorośli, a rodziców zabraknie, to zawsze wiemy, że mamy na kogo liczyć, że nie jesteśmy sami.

Pogląd, co do dwójki dzieci, podzielał też Tomek. O dziecko zaczęliśmy starać się praktycznie zaraz po ślubie. Może nie od razu mieliśmy duże parcie na posiadanie dziecka, jednak postanowiliśmy, że nie będziemy się zabezpieczać i co będzie, to będzie. Zostawimy to naturze. Jednak natura czasem płata nam figle. I my jesteśmy tego idealnym przykładem. Miało być tak pięknie, zawsze wyobrażałam sobie, w jaki sposób przekaże szczęśliwą nowinę Tomkowi. Czy ty również zastanawiałaś się, jak przekażesz taką informację swojemu mężowi lub partnerowi? Nie chciałam, żeby było to takie normalne, zwykłe. Planowałam, że pozytywny test ciążowy ukryje na przykład pod talerzem, który podam do obiadu, on podniesie talerz i tu nagle niespodzianka.

Nie przypomina Ci to może scenariusza z filmu? Ale cóż, nie żyjemy w bajce, a ja nie jestem postacią z kreskówki. To realne życie. Miesiące mijały, a ciąży jak nie było, tak nie było. Nie pamiętam dokładnie, po jakim czasie zaczęłam się zastanawiać nad tym, czy może być coś nie tak.

Na początku czytałam w internecie o tym, jak najlepiej zająć w ciążę, co jeść, żeby poprawić jakość plemników, czy polepszyć jakość śluzu, jakie pozycje seksualne stosować, jak często i kiedy się kochać. Stosowaliśmy się z mężem do tych metod, było też tak, że kupowałam, z tego co pamiętam, różne suplementy diety dla siebie i Tomka. Raz nawet kupiłam jakieś zioła lecznicze na poprawę jakości i ilości śluzu, jak i poprawę owulacji. Ba, chodziłam nawet na akupunkturę, która też miała mi pomóc zająć w ciążę. Jak widzisz tych metod i pomysłów jest sporo. Z innych ciekawszych, to chociażby leżenie z nogami do góry po stosunku, współzycie co drugi dzień dla wzmocnienia mocy plemników. Wiem, wydaje Ci się teraz, że wiele z tych pomysłów to absurd, ale jeśli emocje biorą górę nad intelektem i spokojem, to człowiek małpuje wiele rzeczy.

Z czasem zrobiła się to już rutyna. Szczerze mówiąc, seks nie sprawia takiej satysfakcji, jak jest z góry zaplanowany, kiedy ma być, a kiedy nie. Coraz częściej po prostu nam się już nie chciało. Złościłam się na Tomka, kiedy był akurat ten dzień, a ten wracał po pracy zmęczony i po prostu mu się nie chciało. Wtedy przekładaliśmy to na następny dzień, czasem znowu na następny. I znowu, gdy przychodziła miesiączka miałam wyrzuty sumienia i byłam zła na siebie, na Tomka, że znowu to przełożyliśmy, że znowu odpuściliśmy. Takie sytuacje zaczęły pojawiać się coraz częściej. Powodowało to wzrost napięcia między nami, zaczęliśmy się kłócić. Wciąż miałam pretensje do Tomka, że nie chce się ze mną kochać, że nie chce już dziecka.

Początkowo były to drobne sprzeczki, ale z czasem zaczęły przeobrażać się naprawdę w poważne kłótnie. Taki bujny okres trwał dość długo, zaczęłam nawet myśleć o rozwodzie. Przychodziły mi do głowy myśli, że może jednak do siebie nie pasujemy, podejrzewałam Tomka nawet o zdradę. Musiałam na kogoś wyładować swoją frustrację. Postanowiliśmy, że na razie odpuszczamy i nie będziemy już się tak spinać. Będziemy się kochać wtedy tylko, jak przyjdzie nam na to ochota, a nie kiedy musimy. I tak mijały kolejne, bezowocne miesiące.

W końcu postanowiłam poradzić się lekarza. Początkowo był to ginekolog z najbliższej przychodni. Zalecił zrobić podstawowe badania kobiecych hormonów (progesteron, testosteron, estradiol, hormon tarczycy, FSH) w odpowiednich podanych przez lekarza dniach cyklu, a gdy te wyszły poprawnie zalecił kontrolę owulacji. Polegało to na tym, że w wyznaczonych dniach cyklu (zazwyczaj był to środek cyklu, czyli przy moich z reguły trzydziestodniowych cyklach, był to około piętnasty dzień cyklu, licząc od pierwszego dnia miesiączki) jeździłam do lekarza na badanie usg, na którym lekarz obserwował wzrost pęcherzyków, z których podczas owulacji (pękają, gdy są dojrzałe) wydobywa się komórka jajowa. Komórka łączy się z plemnikiem i tym samym dochodzi do zapłodnienia. Pęcherzyki te powstają i rosną w jajnikach, dlatego też podczas badania usg lekarz sprawdzał oba jajniki i mówił, ile w danym jajniku jest tych pęcherzyków.

Może wyniki tych wizyt nie były oszałamiające, ale też nie było tragedii. Zazwyczaj miałam po dwa pęcherzyki w każdym jajniku. Według lekarza, wynik nie był zły. I kiedy widział, że osiągnęły już odpowiednie rozmiary i wkrótce pękną, to wówczas kazał w tych dniach współżyć. Na tym właśnie polegała kontrola cyklu.

Chodziłam do lekarza kilka miesięcy, ale oczywiście, jak możesz się domyślić, nie przyniosło to spodziewanego rezultatu. Już wówczas zaczęło mnie to trochę męczyć, te bieganiny do lekarza i znowu współżycie w wyznaczonych dniach. A to był dopiero początek.

Po pewnym czasie przeszukiwania w internecie, znalazłam specjalistyczną klinikę w moim mieście, zajmującą się leczeniem niepłodności. Wówczas można było już chyba rzec o takim problemie. Minęło łącznie ponad dwa lata bezowocnych starań, źródła medyczne podają, iż o niepłodności mówi się wówczas, gdy przez okres co najmniej jednego roku nie udaje się zajść w ciążę. Uważam, że mogłam już wówczas powiedzieć, że cierpimy z Tomkiem na niepłodność.

Umówiłam nas na pierwszą wizytę (prywatnie, koszt sto pięćdziesiąt złotych) do jednego z najlepszych specjalistów w klinice. Zanim wybrałam się po poradę, wcześniej przeczytałam opinie na portalu www.znanylekarz.pl, polecam ten portal, wiele ciekawych rzeczy można się dowiedzieć o swoim lekarzu. Niektóre opinie są nietrafione, ale wyrabiasz sobie własne zdanie, do którego warto się zgłosić, a którego lepiej unikać szerokim łukiem.

Udaliśmy się więc na pierwszą wizytę. Miałam wówczas dwadzieścia sześć lat.

Już na wejściu ośrodek zrobił na nas bardzo dobre wrażenie, wszędzie czysto, obsługa miła, pełen profesjonalizm. Lekarz, który nas przyjmował i przyjmuje po dziś dzień, był również jak się potem okazało dyrektorem kliniki. Na początku wydawał się dość sztywny, zero uśmiechu, mocno stonowany bez żadnej mimiki twarzy, trudno było wywnioskować, co myśli. Ale w końcu nie ma być zabawny, tylko skuteczny. Od razu zlecił ponownie wykonać badanie podstawowych hormonów (poprzednie wyniki nie były już aktualne), ale również nakazał, aby Tomek zrobił badanie nasienia (którego nigdy wcześniej nie robił). Od razu postanowił, że w najbliższym cyklu będziemy stymulować mój organizm tabletkami, powodującymi wzrost tych moich pęcherzyków. Były to tabletki o nazwie clostilbegyt. Dobrze je pamiętam, bo towarzyszyły mi jeszcze przez długi czas. Wszystkie zalecenia i porady, podane przez lekarza zostały przez nas wdrożone.

Gdy podczas następnej wizyty okazało się, że pęcherzyki ładnie urosły i wkrótce pękną, to nakazał nam znów współżyć. Po zbliżeniu, na następny dzień miałam zgłosić się ponownie do kliniki, w celu pobrania wymazu z pochwy.

Miało to na celu sprawdzenie, czy w moim śluzie są jakiegokolwiek plemniki Tomka. Bada się w ten sposób jakość i ilość- a badanie nazywa się testem po stosunku. Z tego co teraz wiem, już raczej nie wykonuje się obecnie tego badania, gdyż uważa się ono za mało wiarygodne.

Badanie samo w sobie okazało się najbardziej kluczowe w dotychczasowej walce o dziecko. W międzyczasie odebraliśmy wyniki moich i Tomka badań – bez zmian, wszystko w porządku. Znowu byliśmy w punkcie wyjścia. Czekałam na okres, którego miało już nie być, ale niestety znowu nadszedł. Ponownie spotkaliśmy się w klinice. Lekarz miał już wyniki naszego badania. W sumie to nie czekałam zbyt długo na nie, gdyż nawet nie sądziłam czego mogę się po nich spodziewać.

Pana doktora nie zdziwił fakt, że dostałam miesiączkę- zajście w ciążę nie było możliwe, w moim śluzie nie znaleziono ani jednego plemnika. Nie wiedziałam co powiedzieć. Pierwsze co nasunęło mi się na język, to pytanie ale dlaczego, jak to możliwe? Przecież Tomek miał dobre wyniki. Co się stało z tymi plemnikami?

Postawiona diagnoza-mam wrogi śluz, który zabija wszystkie plemniki Tomka, tak czasem się zdarza między partnerami, rzadko, ale jednak. Niestety nie ma na to żadnego lekarstwa. Wyobraź sobie jak się wówczas czułam, tyle lat starania się o dziecko, tylko dlatego, że jeden organizm walczy z drugim. To brzmiało jak wyrok. Wówczas po raz pierwszy do oczu napłynęły mi łzy. Ale nie chciałam tam płakać.

Na szczęście medycyna jest już na tyle rozwinięta, że potrafi obejść i tę przeszkodę. Jedyną szansą na zajście w ciążę jest przeprowadzenie zabiegu o nazwie inseminacja domaciczna. Polega na tym, iż Tomek oddaje nasienie w konkretnym czasie, które jest odpowiednio przygotowywane (wybierane są tylko najlepsze i najżywsze plemniki) i poprzez cienki cewnik plemniki są wstrzykiwane do wnętrza macicy. Zabieg jest praktycznie bezbolesny, nie wymaga żadnego znieczulenia, trwa góra dwadzieścia minut i po chwili można iść swobodnie do domu.

Jedynym minusem tego jest jego wysoki koszt- cena zabiegu w klinice to siedemset pięćdziesiąt złotych plus koszty wizyt i leków, potrzebnych do stymulacji pęcherzyków (w moim przypadku był to wcześniejszy lek – clostilbegyt). Zabieg ten nie był i nadal nie jest refundowany przez Narodowy Fundusz Zdrowia. Dla jednych ten koszt może nie jest wysoki, dla nas był.



author: [Crickets Creations Fringies & Scarves](#)